

Krzysztof Koziołek

BÓG NIE WEZMIE W TYM UDZIAŁU

Tylko zemsta może ukoić ból

MANUFATURA
TEKSTÓW

Krzysztof Koziołek

BÓG NIE WEŻMIĘ W TYM UDZIAŁU

 **MANUFAKTURA
TEKSTÓW**

[Kup książkę](#)

Redakcja i korekta
Robert Ostaszewski

Projekt okładki
Kamil Pietruczynek
www.kamilpietruczynek.pl

Skład i łamanie
Krzysztof Kokosiński

Copyright © by Krzysztof Koziołek 2012
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2012

www.manufakturetekstow.pl

Oficjalna strona internetowa autora
www.krzysztofkoziolek.pl

Wydanie szóste
Nowa Sól 2016

ISBN 978-83-944854-1-2

Druk i oprawa
TOTEM - Inowrocław

*Dedykuję
Krzysztofowi Kokosińskiemu*

*Najważniejsze to nie przestawać
nigdy szukać odpowiedzi*

z filmu „Kontakt” w reż. Roberta Zemeckisa

PROLOG

– Z uwagi na odrażający charakter czynu popełniony przez oskarżonego, sąd skazuje go na karę dożywotniego pozbawienia wolności. O przedterminowe warunkowe zwolnienie oskarżony będzie mógł się ubiegać nie wcześniej niż po odbyciu 40 lat kary – na dźwięk tych słów Wiesław Fidler poczuł, jak czerwienieje mu twarz. Chociaż nie mógł w tym momencie przejrzeć się w lustrze – trudno przecież szukać takiego sprzętu na sali sądowej – wiedział, że wygląda, jakby cała krew znalazła się nagle w głowie. Nie tylko czuł, że tak wygląda, co był o tym przekonany na 100 procent, bo przez ostatnie dwa tygodnie spędzone w areszcie codziennie godzinami ćwiczył, przygotowując się na ten moment.

Mechanizm działania był szalenie prosty: wystarczyło nabrać głęboko powietrza i przytrzymać je przez dwie minuty, by potem wolno wypuścić. O ile pierwsza część zadania do trudnych wcale nie należała, szczególnie jeśli się wcześniej wprawilo, o tyle wypuszczenie powietrza tak, aby przy tym nie syczeć głośno jak lokomotywa, łatwe nie było. Ale przecież nie bez przyczyny mówią, że trening czyni mistrza. I tak właśnie było w przypadku Fidlera. Ćwiczył raz za razem, chcąc być pewnym reakcji swojego ciała. Za nic nie mógł sobie pozwolić na to, by ogłoszeniu wyroku towarzyszył szeroki uśmiech na jego twarzy. Uśmiech zadowolenia z otrzymanej kary.

– Czy oskarżony zrozumiał uzasadnienie wyroku? – pytanie sędziego przerwało jego rozmyślania.

– Tak – odpowiedział Fidler głucho, nie patrząc w stronę przewodniczącego składu sędziowskiego. Wpatrywał się za to w oblicze prokuratora. Ten, niemal niedostrzegalnie ski-

nał głową, po czym zaprezentował uśmiech szeroki jak ujście Amazonki. Gdyby ktoś był świadkiem tej sceny, byłby pewien, że Fidler patrzy na prokuratora z nienawiścią. Nawet przez myśl by mu nie przeszło, jak ogromnie się myli.

Ale tego dnia na sali rozpraw nie było świadków. Oprócz składu sędziowskiego w osobach dwóch sędziów i trzech ławników, prokuratora, Fidlera i jego obrońcy oraz dwóch policjantów z eskorty, na sali Sądu Rejonowego w Nowej Soli nie było nikogo innego. Nikt się tą sprawą nie zainteresował, nawet krewni ofiary, co mogło dziwić.

– Niedługo – pomyślał Fidler, wyciągając ręce w stronę siedzącego po prawej stronie funkcjonariusza, który zdążył już wyciągnąć kajdanki. – Już niedługo...

ROZDZIAŁ 1

Pół roku wcześniej

Wiesław Fidler co chwilę nerwowo zerkał w lusterko, próbując jednocześnie kontrolować to, co działo się na drodze przed samochodem. Wtem poczuł, jak robi mu się gorąco, na czoło wystąpiły krople potu. Machinalnie otarł je rękawem jeansowej bluzy, ułamek sekundy później krzywiąc się na widok materiału pobrudzonego ciemnobrązowym podkładem.

Klnąc pod nosem na make-up, który miał być wielce profesjonalny, a okazał się nic nie wart, sięgnął do włącznika klimatyzacji. Maksymalnie przekręcił pokrętło, ale zamiast spodziewanej ulgi, poczuł tylko smród dolatujący z wnętrza urządzenia.

– Nie miała się kiedy zepsuć – syknął, otwierając okno.

Pęd powietrza uderzył go w głowę, chwilę potem zdał sobie sprawę, że malutki wąsik zaczął się odklejać. Zdenerwowany

przyklepał go nieudolnie, licząc, że zdąży dojechać do willi, zanim odpadnie całkowicie.

Ponownie spojrzął w lusterko, nie widząc nic podejrzanego, odetchnął z ulgą. Po minucie dojrzał bazę, sięgnął po pilota i z daleka uruchomił zdalnie otwieraną bramę garażu. Wjechał oplem fronterą do środka, zamknął bramę i dopiero gdy ta zjechała niemal do samego końca, zgasił silnik.

Chciał od razu wysiąść, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Spojrzął na dłonie, wciąż zaciśnięte na kierownicy, drżały nerwowo. Wziął głęboko wdech, po chwili wypuścił powietrze z sykiem, powtarzając to kilka razy.

– Dwa dni – szepnął sam do siebie. – Jeszcze tylko dwa dni i będzie po akcji. Koniec z podwójnym życiem, codzienną charakterystyką i bezustannym strachem przed zdemaskowaniem. Za dwa dni będę wreszcie normalnym funkcjonariuszem. Żadnych działań pod przykrywką, tylko spokojna, nudna praca za biurkiem – uśmiechnął się.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie minie rok, jak przekładanie papierków zacznie mu wychodzić bokiem i zatęskni za robotą na ulicy. Ale wiedział też, że jeśli teraz nie zdecyduje się na taki krok, jego małżeństwo może się rozpaść. Owszem, będzie tęsknił za akcjami w terenie i potężnymi dawkami adrenaliny, ale jeszcze bardziej brakowało mu obecnie normalnego życia: powrotów po pracy do domu, przytulania żony, rozmów z nią, spania w jednym łóżku, jedzenia wspólnych niedzielnych śniadań. Teraz, gdy dla większości ludzi, w towarzystwie których przychodziło mu przebywać, był Andrzejem Paszczyńskim, szeregowym członkiem grupy Jacego, nikim innym, jak podrzędnym kryminalistą z wielkimi aspiracjami, kontakty z rodziną musiał ograniczyć do absolutnego minimum. Niemal cudem udawało mu się wyrwać raz na tydzień, dwa, by choć na kilka godzin spotkać się z żoną. Ta kilkumiesięczna półrozłąka zaczynała im już mocno ciążyć.

– Cud? – zaśmiał się nagle, już rozluźniony. – Cudem jest to, że w czasie mojej wiecznej nieobecności w domu udało się nam zejść w ciążę – wysiadł z auta i przeszedł do części mieszkalnej budynku. Skierował się od razu do łazienki, zasiadł przed toaletką z wielkim lustrem i rozpoczął mozolny proces pozbywania się charakterystyki. Najpierw spod koszuli wyjął sztuczny brzuszek, ostrożnie zawiesił go na oparciu krzesła. Następnie spod obu policzków wyciągnął wkładki nadające pucułowaty wygląd. Już tylko te dwie operacje sprawiły, że w jednej chwili z misiowatego grubaska przeobraził się w przystojne, wysportowane „ciacho”, jak powiedziałby jego żona.

Kolejną zmundną czynnością do wykonania było mycie włosów. Żeby pozbyć się nadmiaru żelu, jaki codziennie z rana nakładał, by móc ułożyć „mokrą Włoszkę”, musiał to zrobić dwukrotnie. Sięgnął po suszarkę, przesuszył włosy na tyle, by swobodnie opadły na czoło. Nieco więcej czasu zabrało mu zdjęcie soczewek. Mimo że zakładał je i ściągał dzień w dzień od ponad czterech miesięcy, to jednak wciąż było to dla niego nie lada wyzwanie. Spojrzał w lustro, beżowaty szary kolor oczu zastąpił lazur tak przejmujący, jak woda w Morzu Śródziemnym.

Już miał wstać, gdy przypomniał sobie o wążach. Zanim je odkleił, otworzył szufladę i sprawdził zawartość leżącej w niej walizeczki. W zapasie zostały tylko dwa sztuczne węży. Używanych więc nie wyrzucił, tylko na wszelki wypadek schował.

Spojrzał raz jeszcze w lustro, pokiwał głową, zadowolony z wyniku. Założył mocno przyciemniane okulary przeciwsłoneczne i czapkę z daszkiem, którą nasunął głęboko na czoło.

Wrócił do garażu, tym razem jednak zasiadł za kierownicą srebrnego renault megane. Drugim pilotem otworzył bramę,

ostrożnie wyjechał na ulicę, sprawdzając, czy droga jest wolna. Ruszył w stronę centrum. Nie mógł doczekać się momentu, gdy zobaczy się z żoną i przyłoży głowę do jej brzucha. Jak do tej pory nie udało mu się jeszcze usłyszeć malucha, liczył, że może dziś się poszczęści.

*

Spojrzał w lusterko wsteczne, ulica była pusta. Zdjął czapkę, która coraz bardziej go uwierała, i położył na desce rozdzielczej. Nacisnął mocniej na pedał gazu, akurat w tym momencie, gdy zza stojącego na chodniku auta wytoczyła się piłka do nogi, a sekundę później na ulicę wyskoczył mały chłopiec. Fidler instynktownie odbił w lewo, by ominąć dzieciaka. – Udało się – westchnął, trąbiąc. Wrócił na prawy pas, po czym pochylił się, by sięgnąć po czapkę, która spadła podczas gwałtownego skrętu. Chwycił ją pewnie, rzucił tym razem na siedzenie. Bezwiednie zerknął w lusterko, tak jak wpajano mu podczas szkolenia. Poczuł, jak serce zaczyna szybciej bić, gdy w szklanej tafli dostrzegł czarny samochód terenowy zbliżający się z dużą prędkością.

*

– Co?! – Jerzy Kasica, prokurator z Prokuratury Rejonowej Warszawa-Żoliborz niezwykle rzadko podnosił głos. A jeszcze rzadziej zdarzało mu się uderzać pięścią w stół, co przed chwilą uczynił. Reakcja była jednak tyleż zrozumiała, co jasna była zaistniała sytuacja. – Kto puścił farbę? – wycedził, pytając Janusza Zaczekowskiego, swojego zastępcę, który minutę wcześniej wparował do biura niczym burza i w kilku zdaniach przedstawił stan rzeczy. A ten, delikatnie mówiąc, nie był najlepszy. Pewien policyjny kapuś wszedł w posiadanie informacji, jakoby jeden z niedawno przyjętych ludzi gangu Jacego był wtyczką. Informator nie był pewien, czy personalia tej osoby są znane, czy nie, ale nawet jeżeli szefstwo gangu nie posiadało tej wiedzy, to tylko kwestią czasu

było ustalenie szczegółów. A wtedy marne byłyby losy ich człowieka.

– Nie mamy pojęcia – odparł Zaczkowski, jedną ręką trzymając komórkę przy uchu. Od początku ich rozmowy próbował się z kimś połączyć, bezskutecznie.

– Co z Wiesławem? – nie wiedzieć czemu Kasica nigdy, odkąd znał się z Fidlerem, nie zdrabniał jego imienia. Robili tak wszyscy, tylko nie on.

– Jak tylko dostałem cynk o przecieku, próbuję się do niego dodzwonić – odpowiedział.

Kasica nie musiał pytać o efekt tych prób. Zaciśnięte usta zastępcy mówiły same za siebie.

*

Zadziwiające jest jak ludzki mózg reaguje w sytuacjach zagrożenia. Kiedy Fidler dostrzegł w lusterku pędzącą ku niemu terenówkę, zarejestrował dwie rzeczy: markę samochodu – był to nissan terrano – oraz buczenie komórki wetkniętej w stojak przymocowany do deski rozdzielczej.

Dopiero gdy zdał sobie sprawę z kompletnej nieprzydatności tych informacji, przynajmniej w jego aktualnym położeniu, zareagował tak, jak powinien od razu, wciskając pedał gazu do dechy. Silnik zawył. Pech chciał, że wymijając dzieciaka, siłą rzeczy zmniejszył prędkość, a że nie zdążył jeszcze zmienić biegu na niższy, to teraz autu brakowało mocy. Motor już, już zaczął wchodzić na odpowiednie obroty, gdy nagle tylną szybę wypełnił widok chromowanych rur. Ułamek sekundy później Fidler poczuł uderzenie. Zaciśnął palce na kierownicy, udało mu się utrzymać ją w rękach. Zerknął w lusterko, gdy wtem czarna terenówka pojawiła się z lewej strony renault. Zanim zdążył zdać sobie sprawę, co chcą zrobić prześladowcy, kierowca nissana gwałtownie skręcił w prawo, uderzając w bok megane. Tym razem Fidlerowi nie udało się już zapanować nad samochodem, siła uderzenia była na tyle

duża, że wyrwało mu kierownicę z rąk. Szczęście w nieszczęściu, zderzak renault wbił się klinem między chromowaną rurę terenówki a jej nadkole, i oba auta szczepiły się jak syjamskie bliźnięta, dzięki czemu nie wypadł z drogi.

Niestety, Fidler nie zdążył się nacieszyć tym stanem rzeczy, gdy poczuł, że kierowca nissana próbuje skręcać w prawo, tym samym spychając megane ku zbliżającej się z zawrotną prędkością betonowej ścianie filara kolejowego wiaduktu. Fidler z całych sił nacisnął hamulec, ale efekt był mizerny, oba auta zwolniły nieznacznie.

Kiedy renault megane uderzyło w beton, złączone ze sobą samochody jechały z prędkością około 50 km/h, tysięczne części sekundy później otworzyły się wszystkie poduszki powietrzne w samochodzie Fidlera. To uratowało mu życie. Wpierw poczuł uderzenie w twarz, mało przyjemne, zaraz potem przenikliwy ból w prawej kostce, przygniecionej pedałem gazu.

Fidler, zamroczony, machinalnie przekręcił kluczyk do pozycji „zero”, próbując otworzyć drzwi, te jednak się zaklinowały. Nagle usłyszał strzały. Lewą ręką przesunął poduszkę powietrzną, wtedy zobaczył stojącą jakieś 50 metrów dalej terenówkę i dwóch mężczyzn idących w jego stronę. Nie namyślając się wiele, jedną ręką chwycił fotel za dolną część, drugą uderzył w przycisk zwalniający blokadę, z całych sił odpychając się lewą nogą. Udało się, fotel odskoczył do tyłu, Fidler zanurkował na tylne siedzenie, otworzył lewe drzwi i poturlał się na ziemię. Wystawił głowę znad bagażnika, próbując określić położenie napastników. Spadł na niego grad pocisków. Kolejny raz dał nura, chowając się za lewym tylnym kołem. Wychylił się nieznacznie. Gdy jego oczom ukazały się nogi strzelców, przymierzył i zaczął strzelać, aż opróżnił magazynek. Wiedział, że trafił, krzyki bólu były tego najlepszym dowodem. Nie zwracając uwagi na jęki, sięgnął do kieszeni

po zapasowy magazynek, załadował broń i ostrożnie uniósł głowę nad bagażnik.

Jeden z napastników klęczał, próbując przy tym pomóc wstać drugiemu, który siedział na ziemi z podkuloną nogą, drugą ściskając kolano.

– Policja! Rzuć broń! – krzyknął Fidler, mierząc do nich. Tak jak się spodziewał, prześladowca ani myślał spełnić polecenie. Zanim jednak zdążył oddać strzał w stronę megane, Fidler opróżnił połowę magazynku. Mężczyzna runął jak długi na ziemię. Jego kompan w akcie desperacji próbował wycelować w policjanta, ale ten nie miał zamiaru staczać pojedynku rodem z westernów i czekać, aż szanse obu strzelców się wyrównają. Bez mrugnienia okiem wpakował drugiemu z napastników trzy kule w korpus.

*

– Nie mogę się dodzwonić – Zaczkowski nerwowo otarł spocone czoło.

– Ile razy zdarzyło się, że nie odebrał telefonu od nas? – spytał Kasica, chociaż dobrze znał odpowiedź.

– Ani razu. Jeśli nie może rozmawiać, zawsze wyłącza komórkę.

– Ogłaszamy alarm – rzucił, łapiąc za słuchawkę. – Mówi prokurator Jerzy Kasica z Prokuratury Rejonowej Warszawa-Żoliborz. Macie jakiś patrol w pobliżu ulicy Kącik Szczęścia? Tak, Kącik Szczęścia. To proszę go natychmiast wysłać pod numer 41a, to dom funkcjonariusza. Jego rodzina może być w niebezpieczeństwie.

– Jeśli panikujemy, a gang Jacego nie ma zielonego pojęcia o roli Wieśka, to możemy go w ten sposób spalić – zauważył Zaczkowski, gdy Kasica odłożył słuchawkę. – Na dwa dni przed zwinieniem Jacy.

– Wiem o tym – Kasica zacisnął usta. – Tak samo zdaję sobie sprawę, ile dla ciebie znaczy ta sprawa i awans, na jaki

liczysz z tytułu jej pozytywnego zakończenia. Ale mam to gdzieś. Dla mnie najważniejsze jest to, żeby nasz człowiek wyszedł z tego bagna cały i zdrow. Jego rodzina też – wycedził.

*

Fidler nawet nie zatrzymał się przy zwłokach. Wsiadł do nissana, włączył bieg – auto stało na włączonym silniku – i z piskiem opon ruszył do przodu. Droga zabrała mu dwie minuty. Gdy zobaczył charakterystyczny daszek nad ganikiem, wykonany w typowo góralskim stylu, a przed nim dostrzegł czarną terenówkę, identyczną jak ta, która próbowała go staranować, poczuł rozdzierający ból w sercu. Przyspieszył.

Był 100 metrów od celu, gdy w drzwiach pojawili się trzej potężnie zbudowani mężczyźni. Jeden z nich, najwyższy, schodząc po schodach, przyłożył lewą dłoń do czoła, tworząc w ten sposób daszek chroniący przed zachodzącym słońcem. Fidler zdążył się zbliżyć na 50 metrów, gdy mężczyzna krzyknął coś do kompanów i zaczął strzelać w kierunku nadjeżdżającego samochodu. Drugi z osiłków ruszył biegiem do zaparkowanego nissana, trzeci też zaczął strzelać.

Fidler schował się maksymalnie za kierownicą, kryjąc przed pociskami. Wycelował autem w nissana, zabrakło zaledwie ułamka sekundy, by go staranował. Kierowcy w ostatniej chwili udało się uruchomić terenówkę i odjechać. Na hamowanie było już za późno. Samochód Fidlera podskoczył na krawężniku i wyskoczył w powietrze jak z katapulty, taranując drewniane ogrodzenie. W geście rozpaczy policjant wcisnął pedał hamulca – przez głowę przemknęła mu myśl, że to dziwne, bo w ogóle nie czuje bólu w zmiażdżonej stopie – koła się co prawda zablokowały, ale że utraciły kontakt z podłożem, to nie miały na czym zahamować. Auto z impetem uderzyło w ścianę budynku.

Kolejny raz w ciągu kilkunastu minut życie uratowały mu poduszki powietrzne. Tym razem jednak nie stracił przytomności, za to obie nogi zaklinowały się między pedałami. Podniósł głowę, patrząc w lewo. Jak przez mgłę zobaczył mężczyzn stojących kilka metrów dalej. Jeden wciąż siedział w aucie, drugi odwrócił się i ruszył w stronę ocalałej terenówki. Trzeci wymierzył w policjanta i, ruszając w stronę zniszczonego samochodu, pociągnął za spust.

Fidler poczuł silne uderzenie w lewy bark, chwilę później jego ciałem wstrząsnął paroksyzm bólu. Oczy zasły mu łzami, ale mimo to dostrzegł szeroki uśmiech na twarzy zbliżającego się napastnika. Westchnął, odmówił w myślach krótką modlitwę, szykując się na nadejście nieuniknionego. Powoli tracił przytomność, głowa zaczęła się osuwać, kątem oka dostrzegł, jak strzelec podchodzi bliżej i staje w rozkroku, by ustabilizować ciało do celniejszego strzału.

W tym momencie w oddali zawyła policyjna syrena. Fidler nie mógł już tego usłyszeć, zemdlał. Nie mógł też zobaczyć, jak napastnik pociąga za spust i klnie, słysząc tylko suchy trzask. Nie widział także, jak machinalnie sięga po zapasowy magazynek, który najwyraźniej musiał mu wypaść z kieszeni podczas zbiegania ze schodów. Syrena wyła coraz głośniej, w końcu radiowóz pojawił się w zasięgu wzroku.

Mężczyzna, ponaglany przez kompanów, wszedł do nissana. Kierowca terenówki ruszył z kopyta.

*

– Jest ciężko ranny – Kasica z hukiem odłożył słuchawkę. Widać było, że jest wstrząśnięty tym, co przed chwilą usłyszał.

– Wiesiek? – spytał Zaczkowski.

– A niby kto? – warknął. – Przepraszam – dodał już spokojniej. – Nie brałem takiego obrotu wypadków pod uwagę. Za dwa dni miał być koniec. Wszystko szło tak dobrze...

- Wiem, też mi jest z tym ciężko. Gdzie go zawieźli?
- Na Wołoską, do szpitala MSWiA.
- Jakie są rokowania?
- Na razie żadne, dopiero co trafił na salę operacyjną. Policja już tam jest, będą go pilnować.
- Jedziemy? – spytał Zaczkowski.
- Tak.

W tym momencie zadzwonił telefon. Kasica odebrał, przez minutę słuchał w skupieniu, przerywając tylko monosylabami. Zaczkowski widział, jak szef zaciska palce na słuchawce, aż bieleje mu skóra.

- Kolejne złe wieści? – spytał Zaczkowski, gdy Kasica skończył rozmowę.
- Żona Wieśka nie żyje – odparł głucho. – Została zmasakrowana.

*

Kiedy pół godziny później obaj prokuratorzy dotarli do szpitala, przed budynkiem stały cztery radiowozy, a przed blokiem operacyjnym czekało już kilku umundurowanych policjantów. Dwóch pełniło wartę przy wejściu na oddział.

- Jerzy Kasica, prokuratura rejonowa. To mój zastępca Janusz Zaczkowski – Kasica przywitał się z funkcjonariuszami.
- Któryś z panów był na miejscu zdarzenia?
- Ja i kolega – odezwał się jeden. – Młodszy aspirant Tomasz Biegalski – przedstawił się. – A to aspirant Marek Kopć – pokazał na kolegę.
- Janek, poszukam ordynatora. A ty pogadaj z panami – rzucił Kasica, wchodząc na oddział.

– Poproszę panów na chwilę na bok – Zaczkowski wziął młodszego aspiranta pod łokieć i odsunął dwa kroki na bok, pod samą ścianę. – Możecie przedstawić sytuację?

– Odbywaliśmy rutynowy patrol, byliśmy akurat w pobliżu, gdy dostaliśmy wezwanie od dyżurnego. W Kąciku Szczę-

ścia byliśmy dosłownie po minucie. Dojeżdżając na miejsce, zauważyliśmy czarnego nissana terrano, który oddalał się w kierunku...

– Macie numer rejestracyjny? – przerwał mu Zaczkowski.

– Spisaliśmy – Kopć włączył się do rozmowy. – Tablice zostały skradzione na Mokotowie dwie godziny wcześniej.

– Ścigaliście nissana? – kontynuował Zaczkowski.

– Nie – odrzekł Biegalski. – Z relacji dyżurnego wynikało, że w niebezpieczeństwie może być rodzina policjanta, skupiliśmy się na sprawdzeniu terenu. Weszliśmy do domu, potem zajęliśmy się kierowcą terenówki, która wjechała w ścianę budynku. Udzieliłem mu pierwszej pomocy, facet strasznie krwawił.

– W domu była rzeźnia – Kopć przygryzł wargę. – Pracuję na ulicy od ośmiu lat, ale czegoś takiego nie widziałem.

– Jeszcze dzisiaj macie panowie złożyć pisemny, szczegółowy raport – polecił Zaczkowski.

– Tak jest – odpowiedzieli równocześnie. – Co z tym kierowcą? To jeden z naszych, prawda? – spytał Biegalski.

– Tajniak – Zaczkowski potaknął głową. – Były inne ofiary?

– Drugi patrol zgłosił dwóch martwych mięśniaków, jakieś dwa kilometry od domu tajniaka. Najprawdopodobniej dostali po kilka kulek od naszego policjanta, który później wziął ich wóz – odrzekł Biegalski.

– Zuch chłopak, położył przynajmniej dwóch – dodał Kopć. – Szkoda tylko, że...

– I jak? – przerwał mu Zaczkowski, rzucając pytanie w stronę Kasicy, gdy ten pojawił się w drzwiach.

– Macie wolne, panowie – Kasica gestem ręki odprawił funkcjonariuszy pilnujących wejścia na oddział.

– Ale dlaczego? – zaoponował Zaczkowski. – Oni mogą spróbować ponownie. Ktoś musi go pilnować. To standardowa procedura...

– Nikt już nie musi go pilnować – Kasica wziął głęboki wdech. – Wiesław zmarł na stole operacyjnym. Uraz wielonarządowy, krwotok wewnętrzny. Nie udało się...

*

W tym samym czasie, w którym Kasica odgrywał przed policjantami może nie rolę swojego życia, ale na pewno jedną z lepszych, lekarze próbowali uratować życie Fidlera. Stracił mnóstwo krwi, ale ekipie chirurgów udało się pozszywać uszkodzoną tętnicę podobojczykową i na pole bitwy mogli wkroczyć ortopedzi. Pogruchotaną prawą kostkę na razie włożono tylko w prowizoryczne łupki, noga musiała poczekać na swoją kolej.

Na szczęście poduszki powietrzne w obu samochodach, które Fidler skasował, stanęły na wysokości zadania i obrażenia wewnętrzne, o których mówił Kasica, były fikcją.

ROZDZIAŁ 2

Kasica był zdziwiony tym, jak łatwo przyszło mu namówić ordynatora intensywnej terapii na udział w mistyfikacji. Pomysł, by uznać Fidlera za zmarłego, przyszedł prokuratorowi do głowy już w drodze do szpitala. Wahał się, ale kiedy przed wejściem na oddział zobaczył rozmawiających ze sobą policjantów, którzy w tym krótkim czasie zdążyli przepuścić, bez sprawdzenia, dwie osoby, z których tylko jedna była ubrana w biały kitel, bez mrugnięcia okiem podjął decyzję.

Ktoś próbował zabić policjanta na służbie, ktoś inny zamordował z zimną krwią jego żonę. Bez dwóch zdań, już na pierwszy rzut oka wyglądało to na egzekucję. Kasica był prokuratorem z wieloletnim stażem i nabyte doświadczenie przypominało mu o starej prawdzie, że pierwsze wrażenie

bywa mylne, ale z kolei intuicja podpowiadała, aby ukryć policjanta, przynajmniej do czasu aż wyzdrowieje.

*

Już następnego dnia po operacji, gdy tylko stan pacjenta ustabilizował się na tyle, by można go było bezpiecznie przetransportować, Fidlera przewieziono do szpitala Świętej Zofii. Kilka dni później, po znacznej poprawie, przeniesiono go do prywatnej kliniki w Konstancinie. Jednak cały czas był nieprzytomny, co było efektem świadomego wprowadzenia w śpiączkę farmakologiczną przez lekarzy.

Z tego to powodu pacjent nie mógł wiedzieć, że cztery dni po zdarzeniu, na cmentarzu na Wólce odbył się pogrzeb jego samego oraz żony. Dwie trumny, z których tylko w jednej spoczywało ciało, w drugiej zaś cztery ciężkie drewniane bale, trafiły do wspólnego grobu. Podczas uroczystości obecni byli koledzy i przyjaciele obojga, przyszło też wielu policjantów i policjantek z warszawskich komisariatów. Wśród kilkuset osób obecnych na ceremonii tylko dwie wiedziały, że jedna trumna jest drewnianą nie tylko z nazwy. Obok Kasicy był to zastępca prokuratora apelacyjnego w Warszawie Jarosław Jaszczyszyn. Z tą różnicą, że ten pierwszy nie wiedział, iż drugi też posiada taką wiedzę.

Kiedy na cmentarzu rozbrzmiał motyw z „Gladiatora” Ridleya Scotta – takie było życzenie Fidlera, co potwierdzał znaleziony w domu testament – niemal wszyscy mieli łzy w oczach, nawet ci dwaj, którzy wiedzieli o mistyfikacji. Jaszczyszyn sięgnął do kieszeni spodni wrocławskiej firmy Twins, producenta luksusowych garniturów, ubierającej takie sławy jak David Beckham, Robbie Williams czy Anthony Hopkins, tylko po to, by ze zdumieniem stwierdzić, że nie ma w niej chusteczki.

– Proszę – Kasica podał mu paczkę higienicznych. Obaj z daleka rzucali się w oczy. Jaszczyszyn był bowiem wysoki,

potężnie zbudowany, a przy niskim i krępy Kasicy wyglądał wręcz na olbrzyma.

– Dziękuję – szepnął Jaszczyszyn w odpowiedzi. – Panie prokuratorze, można na słówko? – spytał cicho, biorąc kolegę pod ramię.

– Teraz? – wiedział doskonale, że zastępcy prokuratora apelacyjnego się nie odmawia, ale mimo to dziwny wydawał mu się pomysł, by rozmawiać o sprawach zawodowych w takim miejscu i czasie.

– Tak – rzucił krótko. – Zajmę panu tylko chwilę.

Mężczyźni w milczeniu podeszli do limuzyny Jaszczyszyna. Kasica zlustrował auto spojrzeniem łączącym w sobie zazdrość i niesmak. Zastępca prokuratora apelacyjnego w środowisku prawniczym znany był ze swojego zamiłowania do otaczania się luksusowymi dobrami. Mercedes S 600 był jednym z nich. Zresztą, nie bez przyczyny w branży dorobił się przezwiska „Ponad Dwa Tysiące”. Ksywa brała się z tego, że przy każdej możliwej okazji chwalił się swoimi butami robionymi na zamówienie, które kosztowały „Ponad dwa tysiące złotych!”.

– Słucham pana, panie prokuratorze – Kasica oderwał wzrok od wychuchanego auta, spojrzał na kolegę po fachu.

– Chodzi mi po głowie pewna myśl... – zaczął Jaszczyszyn.

– Wpadłem na pomysł, jak moglibyśmy wykorzystać tę historię i samego Fidlera...

– Wykorzystać zmarłego? – nie krył zdziwienia.

– Świetnie pan gra – uśmiechnął się. – Wiem, że przeniósł pan go do Konstancina.

– Aha – był totalnie zaskoczony. – W jaki sposób chce pan go wykorzystać? – rzekł po dłuższej chwili. – Wciąż jest w śpiączce.

– Właściwie, to nie chcę go wykorzystywać, to określenie kojarzy się bardzo pejoratywnie – Jaszczyszyn znów wziął Kasicę pod rękę. – Właściwie, to chciałbym mu pomóc.

Minęło zaledwie pięć dni od zabójstwa żony Fidlera i próby zamordowania samego policjanta, gdy koledzy po fachu, szukając sprawców, wpadli na obiecujący trop. Tak się zdarzyło, że uciekającego z Kącika Szczęścia nissana z trzema potężnie zbudowanymi mężczyznami widział pewien starszy jegomość, mieszkaniec sąsiedniej ulicy, który akurat w tym czasie pielęgnował różane klomby w przydomowym ogródku. Ponieważ kierowca auta pędził jak wariat, niemal staranował poruszającą się przy pomocy chodzika sąsiadkę starszego pana, ten zapisał numery rejestracyjne. Kiedy nazajutrz przeczytał w gazecie artykuł o zabójstwie policjanta i jego żony, natychmiast skojarzył to z czarnym nissanem.

Ponieważ starszy pan był emerytowanym wojskowym, natychmiast pojechał na dzielnicowy komisariat. Szef posterunku był na tyle inteligentny, że nie ograniczył się do spisania zeznania, tylko bezzwłocznie powiadomił komendanta miejskiego, a ten od razu wysłał na miejsce funkcjonariuszy prowadzących śledztwo. Ci nie liczyli na przełom, tym bardziej że tablice rejestracyjne były kradzione, ale postanowili spróbować szczęścia. Przesłuchanie starszego pana nie trwało długo, ale było nad wyraz owocne. Okazało się bowiem, że emeryt nie tylko zapisał numery rejestracyjne nissana, ale także zdążył się przyjrzeć kierowcy auta. I to na tyle dokładnie, że zanotował w pamięci kilka ważnych szczegółów. Kiedy starszy pan podał, że w uchu kierowcy tkwiło kilka dużych kolczyków, funkcjonariusze spojrzeli na siebie znacząco. Gdy dodał, że dolna szczęka mężczyzny była mocno wysunięta do przodu, policjanci nabrali pewności co do personaliów kierowcy.

Nie zwlekając, poprosili starszego pana o wizytę na komendzie, tam pokazali mu zdjęcia kilku notowanych przes-

tępców. Emeryt bez wahania wskazał na jednego z nich: Krzysztofa Literskiego.

Namierzenie mężczyzny zabrało policjantom dwa dni. Niestety, podczas próby jego zatrzymania w „Szalonej Nimfomance”, podrzędnej spelunie ze striptizem, doszło do wymiany ognia, w wyniku której Literski został ciężko ranny. Przewieziony do szpitala zmarł po kilku godzinach, nie odzyskawszy przytomności.

W ten sposób jedyny ślad mogący doprowadzić śledczych do zleceniodawców podwójnej egzekucji zniknął bezpowrotnie.

*

W biurze Jaszczyszyna atmosfera gęstniała z minuty na minutę, bo zarówno on, jak i zastępca dyrektora Centralnego Biura Śledczego, nadinspektor Wojciech Bryndza, ćmili papierosa za papierosem. Kasica już na samym początku rozmowy poprosił o otwarcie okna, ale to niewiele dało. W dodatku czuć było napięcie, jakie wytworzyło się między prokuratorami. Wszystko wskazywało, że dojdzie do konfrontacji.

– Czy ja dobrze zrozumiałem, panie prokuratorze? – spytał Kasica, starając się ze wszystkich sił nie pozwolić sobie na wybuch złości. – Facetowi dopiero co zamordowano żonę, nie mówiąc o tym, co z nią wcześniej zrobiono – aż wzdrygnął się na wspomnienie dokumentacji fotograficznej wykonanej w domu Fidlera. – Sam niemal stracił życie podczas zamachu, został ciężko ranny, ortopedom jego prawą stopę cudem udało się poskładać do kupy, wciąż nie odzyskał przytomności – wyliczał, coraz bardziej podnosząc głos. – A pan chce mu zaproponować coś takiego?

– Dzisiaj rano kontaktowałem się z lekarzem prowadzącym. Jutro zaczną go wybudzać ze śpiączki – odparł Jaszczyszyn beznamiętnym tonem, zupełnie jakby mówił o sprzedaży

ży węgla na zimę. – Potem damy mu dwa, trzy miesiące na dojście do siebie i przedstawimy naszą propozycję.

– Naszą? – rzucił Kasica.

– Naszą – potwierdził zdecydowanie Bryndza.

– Nawet jeżeli lekarzom uda się wybudzanie, to zanim Fidler wróci do pełnej sprawności fizycznej, miną tygodnie, jeśli nie miesiące. Nie mówiąc już o tym, że będzie musiał pozbierać się psychicznie – Kasica się nie poddawał.

– Ten czas wykorzystamy na przygotowanie operacji. Takich skomplikowanych działań nie da się przeprowadzić z dnia na dzień – Jaszczyszyn był nieustępliwy. – A co do psychiki Fidlera, to myślę, że będzie bardzo zadowolony z możliwości, jaką chcemy mu dać.

*

– Nie damę mu większych szans na powrót do pełnej sprawności – Albin Rzeszotarski, szef prywatnej kliniki w Konstancinie i jednocześnie światowej klasy ortopeda, powiększył obraz na ekranie monitora. Na zdjęciu więcej miejsca zajmowały śruby niż kości stopy. – Nasi koledzy ze Świętej Zofii wykonali kawał dobrej roboty, ale cudów w medycynie nie ma. Myślisz, że facet będzie w stanie normalnie chodzić?

– zwrócił się do swojego zastępcy, Eugeniusza Jarockiego.

– Trzy miesiące – odparł Jarocki.

– Jakie trzy miesiące?

– Tyle czasu mu zajmie rehabilitacja. Założę się, że za 90 dni będzie w świetnej formie fizycznej.

– Skąd ta pewność?

– Jego organizm jest niezwykle silny – Jarocki pokiwał głową z uznaniem. – Dawno nie spotkałem pacjenta, u którego widziałbym tak silną chęć przeżycia. Rany goją się znacznie szybciej, niż można by przypuszczać.

– Przyjmuję zakład – Rzeszotarski wyciągnął rękę w stronę zastępcy. – O ile?

– Jak zwykle – Jarocki uściśnął dłoń szefa. – O jedną butelkę.

– Szkockiej?

– Nie – skrzywił się. – Szkocką wygrałem ostatnio. Chwaliłeś się niedawno pacjentem, który sprezentował ci prawdziwą serbską śliwowicę...

– Mocno podbijasz stawkę. Zgodzę się pod warunkiem, że postawisz tokaj, wiesz który.

– Nie mogę doczekać się momentu, kiedy poczuję na języku ten cierpki smak śliwki – Jarocki uśmiechnął się szeroko.

– Cierpliwości, mój drogi, cierpliwości – Rzeszotarski odpowiedział równie szerokim uśmiechem. – Najpierw zajmijmy się wybudzaniem pacjenta ze śpiączki. Wydałeś pielęgniarkom dyspozycje?

– Wydałem, ale wolę to nadzorować osobiście – wstał z fotela. – A ty lepiej zacznij szykować szkło.

*

Kiedy Kasica zamknął za sobą drzwi, miał nieodparte wrażenie, jakby coś przegrał. Był zły, że stracił panowanie nad sobą i w pewnym momencie dyskusji puściły mu nerwy. Z drugiej jednak strony odczuwał coś na kształt dumy, bo potrafił się wstawić za Fidlerem. Chociaż tak naprawdę, to czy mógł rościć sobie prawo do obrony nieprzytomnego przyjaciela? – Równie dobrze ta propozycja może mu odpowiadać – mruknął pod nosem, wychodząc z budynku.

*

Mniej więcej w tym czasie, w którym Kasica był już na schodach, Jaszczyszyn poczęstował Bryndzę cygarem.

– Myślisz, że Fidler się zgodzi na taką podmiankę? – spytał prokurator sondująco.

– To jeden z naszych najlepszych ludzi. Ma stalowe nerwy... – zaczął Bryndza.

– Ale chciał się wycofać z gry – zauważył celnie.

– Niedawno się ożenił, miał zamiar skończyć z pracą tajniaka pod przykrywką. Ale bynajmniej nie dlatego, że zaczął się bać.

– Więc jaki był powód tej nagłej odmiany? – Jaszczyszyn wypuścił dwa zgrabne kółka dymu.

– Przecież mówiłem, że niedawno się ożenił – zirytował się. – Rok albo półtora roku temu. Wiesz, jak to jest z młodymi żonkosiami: lubie zaczynają im wiercić dziurę w brzuchu, że za dużo ryzykują, że tygodniami nie ma ich w domu.

– Babskie gadanie – prychnął.

– Wiem, że ty od swojej starej uciekasz co dnia do pracy albo co rusz wysyłasz ją na dwutygodniowe wczasy do ciepłych krajów, ale nie dziw się takiemu młokosowi, że chciał poużywać życia – uśmiechnął się Bryndza. – Szkoda mi chłopaka. Kiedy się obudzi, czeka go ciężka przeprawa. Nie każdy po czymś takim się pozbiera – zamyślił się.

– Przestań mi tu filozofować – warknął Jaszczyszyn. – Nada się do tej roboty?

– Jeśli się nie załamie tym, czego się wkrótce dowie, a złość wywoła w nim chęć zemsty, to jak najbardziej.

– Świetnie – wypuścił kolejne kółka dymu. – Musimy go przekonać, że nasz plan to idealna okazja do rewanżu.

– A co z Łasicą? – spytał Bryndza, mając na myśli Kasicę, za plecami którego powszechnie używano mało sympatycznego przezwiska.

– Trzeba go przy najbliższej okazji delikatnie odsunąć od sprawy – odparł Jaszczyszyn zdecydowanie. – Jest nam kompletnie do niczego niepotrzebny a w pewnym momencie mógłby się stać niebezpieczny. Tylko by się pałętał pod nogami.

*

Mało brakowało, a Rzeszotarski trafiłby z diagnozą w przyszłościową dziesiątkę. Wybudzanie Fidlera zabrało mniej czasu, niż można by przewidywać na podstawie tego, co mówiły

o tym podręczniki medyczne. Jednak gdy pacjent odzyskał przytomność, a potem, po kilku dniach, także pełnię świadomości, nastąpiło dramatyczne pogorszenie stanu zdrowia. Kiedy dotarło do niego, że nigdy już nie zobaczy ukochanej żony, załamał się.

Przez pierwsze dni nie chciał pić ani jeść, nie przekonywały go prośby, błagania a na końcu groźby personelu, dlatego też zdecydowano się na przywrócenie kroplówki. Jednak dla mężczyzny w tym wieku i przy jego tężyznie fizycznej takie traktowanie organizmu nie mogło się skończyć niczym innym jak tym, czym się skończyło: zaczął błyskawicznie chudnąć. I o ile nikt mu na wagę stawać nie kazał, to i bez tego gołym okiem było widać, jak szybko traci masę.

Tak więc ósmego dnia po przebudzeniu, gdy kolejny raz odmówił jedzenia, cierpliwość pielęgniarki oddziałowej się wyczerpała. Siostra w niewybrednych słowach wyjaśniła Fidlerowi, co myśli o takim zachowaniu. Ale i ta reprimenda nie przyniosłaby skutku, gdyby nie nagły zwrot szpitalnej akcji, wykonany przez oddziałową w geście rozpacz. Widząc, że jej argumentacja trafia jak kula w płot, sięgnęła po ekstremalny oręż. Mianowicie zdradziła, że Fidler stał się przedmiotem zakładu między szefem kliniki a jego zastępcą.

Reakcja policjanta na tę wiadomość była jak rysa na żelbetowym monolicie. Pielęgniarka postanowiła pójść za ciosem i wyjawiała, o co założyli się obaj lekarze. Kilka godzin później siostra była już pewna sukcesu, widząc, jak opór Fidera pęka niczym mydlana bańka. Jeszcze tego samego dnia pacjent poprosił o lekką kolację, nazajutrz trzeba było odmawiać mu dokładek, a dostawał niemal głodowe racje żywnościowe, dla bezpieczeństwa. Za to trzy dni później pałaszował już podwójne porcje.

Błyskawicznie zaczął wracać do formy fizycznej, zabiegi rehabilitacyjne wypełniały mu prawie całe dni. Lekarze wy-

korzystali okazję i skierowali go na indywidualne sesje terapeutyczne z psychologiem. O dziwo, pacjent tym razem nie protestował, wręcz przeciwnie, sam zaproponował, by nie ograniczać się tylko do spotkań w dni robocze.

Po dwóch miesiącach od wybudzenia ze śpiączki Fidlerowi pozwolono na codzienne krótkie spacerunki w ogrodzie okalającym klinikę. Po kolejnym przyszedł czas na truchtanie na coraz dłuższych dystansach.

Dokładnie cztery miesiące i dwa dni od momentu odzyskania przytomności, Fidler przebiegł pięć kilometrów, ani razu nie poczuwszy większego bólu w prawej stopie, bo mniejszy był już jego stałym towarzyszem. Zziębnięty wracał do swojego pokoju, z zamiarem wzięcia odświeżającego prysznica, gdy wewnątrz zastał Rzeszotarskiego i Jarockiego, obu w świetnych humorach i z kieliszkami w dłoniach.

– Impreza? – spytał Fidler, próbując uspokoić oddech.
– Panowie profesorowie chyba pomylili pokój.

– Bynajmniej, panie Wiesławie, bynajmniej – Jarocki podniósł kieliszek, wykonał nim kilka małych młynków i umoczył usta. – Pijemy pańskie zdrowie.

– Moją serbską śliwowicą – doprecyzował Rzeszotarski. Jeżeli był z tego powodu smutny, to nie dał tego po sobie poznać. – Pół żartem, pół serio mógłbym powiedzieć, że mnie pan rozczarował.

– Bo? – Fidler sięgnął po ręcznik wiszący na oparciu krzesła, otarł nim spoconą twarz, z której lały się strugi potu.

– Nieczęsto zdarza mi się tak nietrafna diagnoza – wyjaśnił Rzeszotarski. – Ale nie mam zamiaru z tego powodu rozpaczać. Najważniejsze, że wrócił pan do pełnej formy.

– Jak noga? – zaciekał się Jarocki.

– Boli coraz mniej – odpowiedział Fidler. – Najmocniej doskwiera przy zmianach pogody.

– Do tego musi się pan, niestety, przyzwyczaić – Jarocki wzruszył ramionami. – Pańska stopa do końca życia będzie robić za barometr.

– Przynajmniej będę mógł sobie darować oglądanie prognoz pogody – Fidler uśmiechnął się kwaśno. – Panowie oblewacie powrót pacjenta do zdrowia, lecz jakoś trzeciego kieliszka dla mnie nie widzę. Gdzie wasze maniery?

– Chętnie pana poczęstujemy, ale nie dzisiaj – odparł Rzeszotarski.

– A myślałem, że śliwowica należy do profesora Jarockiego – zdziwił się Fidler. – To przecież pan wygrał zakład, prawda?

– Moja śliwowica, ale to on jest nadal szefem – zaśmiał się Jarocki.

– Dlaczego nie dziś? – Fidler wrócił do poprzedniej myśli.

– Bo za pół godziny będzie pan miał gości z prokuratury. Wolelibyśmy, żeby nie wyczuli od pana woni alkoholu – wytłumaczył Rzeszotarski, dopijając trunek. – My właśnie kończymy zmianę i jedziemy do domu. Taksówką oczywiście – dodał, widząc pytające spojrzenie policjanta.

ROZDZIAŁ 3

– Mamy dla pana propozycję – Jaszczyszyn zaczął bez zbędnego wstępu, od razu po tym, jak Kasica przedstawił jego i Bryndzę Fidlerowi. Oprócz pacjenta wszyscy stali. Fidlerowi przydzielono luksusową salę jednoosobową, przestronną na tyle, by zmieściła także kilkoro odwiedzających, jednak gdy tylko dowiedział się o planowanej wizycie, kazał wynieść krzesła na korytarz, zamknął okno i wyłączył klimatyzację. Wystarczyło kilka chwil, by w pomieszczeniu zrobiło się gorąco. Aby spotęgować efekt, Fidler nie pozwolił nawet

lekko uchylić okna, tłumacząc pokrętnie, że zrobi się przeciąg. Bryndzy cisnęło się na usta pytanie, jak w takim wypadku może normalnie funkcjonować, ale powstrzymał się od zadania go.

– Jestem pewien, że pana zainteresuje – kontynuował Jaszczyszyn, niezrażony brakiem zaciekawienia ze strony Fidle-
ra.

– A ja jestem pewien, że nie – wypalił Kasica.

– Kolejna akcja? – mruknął Fidler. – Nawet mi nie dacie dojść do siebie.

– To nie tak – Jaszczyszyn zamachał nerwowo rękoma.
– Proszę mi pozwolić, a wprowadzę pana w szczegóły. Jestem pewien, że...

– Wiem, że jest pan pewien – przerwał mu Fidler. – Już raz to pan powiedział. Przed chwilą.

– Może przejdźmy do konkretów? – zaproponował Bryndza, ocierając dłonią spocone czoło.

– Nie słuchaj ich – Kasica spojrzał błagalnie na Fidlera.

– Albo się pan zamknie, albo pana wyproszę – Jaszczyszyn był bliski wybuchu.

– To ja tu jestem gospodarzem i tylko ja mogę Jurka wyprosić – rzekł twardo Fidler. – Panów zresztą też – dodał znacząco.

– Przepraszam – Jaszczyszyn niezwykle rzadko używał tego słowa i sam ten fakt był wart odnotowania. – Mogę powiedzieć, o co chodzi?

– Nie – uciął Fidler. – Co tam masz? – zwrócił się z pytaniem do Kasicy. – To, o czym myślę?

– Tak – odpowiedział Kasica.

– Pokaż mi akta – wycedził Fidler.

– Możesz mnie wyprosić, a nawet wyrzucić przez okno, a i tak ci ich nie pokażę – Kasica był wyraźnie wzburzony.

– Żaden mąż nie powinien czegoś takiego oglądać.

– Proszę pokazać akta panu Fidlerowi – polecił Jaszczyszyn.

– Nie – odrzekł twardo Kasica.

– Czy muszę panu przypominać, że jestem pana przełożonym? – Jaszczyszyn się zdenerwował.

– Mam dobrą pamięć – odciął się Kasica.

– Panowie, bez nerwów – jeśli Bryndza chciał pełnić funkcję mediatora, to osiągnął efekt odwrotny do zamierzonego.

– Nie mów mi, co mam robić – syknął Jaszczyszyn w stronę komendanta. – Wystarczy, że pan prokurator próbuje to robić. Akta.

– Na jakiej podstawie? – Kasica udawał głupiego.

– Jako członek najbliższej rodziny mam chyba prawo wglądu do akt dotyczących morderstwa mojej żony? – Fidler ponownie włączył się do rozmowy.

– Oczywiście, że masz takie prawo – przyznał Kasica. – Ale ja mam prawo ci odmówić, w tym przypadku powołam się na twój stan zdrowia. Odwołasz się, sąd przyzna ci rację. Wtedy ja odwołam się do instancji wyższej, ponownie przegram, a decyzja sądu będzie już ostateczna. Tylko że zanim do tego dojdzie, miną ze dwa miesiące. A ty w tym czasie nabierzesz sił potrzebnych do tego, żeby się z tym zmierzyć – stuknął palcami w teczkę.

– Jest też inna opcja – Jaszczyszyn uśmiechnął się szeroko.

– Wydam polecenie służbowe i pokaże pan dokumenty panu Fidlerowi – wyciągnął rękę.

– Chcę to mieć na piśmie – Kasica objął teczkę oburącz, tuląc ją do siebie niczym matka chore dziecko do piersi.

– Zaraz mnie trafi – warknął Jaszczyszyn. Bryndza podał mu kartkę papieru i długopis, Jaszczyszyn przez minutę pisał, jako podkładkę wykorzystując ścianę, klnąc przy tym pod nosem. Gdy skończył, podał pismo Kasicy, mówiąc:

– Wystarczy?

Kasica przebiegł wzrokiem po kartce, bez słowa podał Fidlerowi akta.

– I po co to panu było? – spytał Jaszczyszyn, patrząc Kasicy prosto w oczy.

– Po to – Kasica wytrzymał spojrzenie – żeby mieć czyste sumienie.

*

Kiedy Fidler otrzymał akta sprawy, poprosił o pozostawienie go samego na godzinę. Gdy prokuratorzy i komendant wyszli, otworzył szeroko okno i zaczął czytać. Dokładnie po godzinie uchylił drzwi i gestem ręki zaprosił mężczyzn do środka, każąc im zabrać ze sobą krzesła. Sam zaczął spacerować po pokoju.

– Słucham – rzucił, gdy wszyscy już usiedli.

– W skrócie: chcemy wsadzić pana do więzienia w Wołowie, na góra kilka miesięcy – zaczął Jaszczyszyn. – Ale możliwe, że wystarczy kilka tygodni.

– Trafi pan do celi, w której siedzi Grzegorz Owsianka – dopowiedział Bryndza. – I niech pana czasem nie zmyli jego nazwisko.

– Niepotrzebna uwaga – Fidler zbił usta w ciup. – Harcerza byście mi nie wystawiali.

– Jak najbardziej słuszne spostrzeżenie – Jaszczyszyn spojrział na komendanta spod byka. – Owsianka to jeden z najniebezpieczniejszych przestępców w Polsce – z aktówki wyciągnął plik dokumentów, szybko je przewertował, wręczył Fidlerowi kartkę ze zdjęciem. – Jest szefem dużej grupy przestępczej, której członkowie sami siebie nazywają Terminatorami. I faktycznie, są tak bezwzględni, że zasługują na to miano. Grupa Jacego była jej częścią, którą Terminatorzy niedawno wchłonęli.

– Rozpracowywałem ludzi Jacego, ale tego nie wiedziałem – zdziwił się Fidler.

– To świeża informacja i do tego ściśle tajna – wyjaśnił Bryndza.

– Macie kogoś u Terminatorów? – spytał Fidler.

Jaszczyszyn i Bryndza spojrzeli na siebie znacząco, żaden się nie odezwał.

– Jeśli mam dla was nadstawić tyłka, chcę wiedzieć o wszystkim – oświadczył Fidler. – A tajne przez poufne to wiecie gdzie możecie sobie wsadzić.

– Mamy kogoś wśród Terminatorów – przyznał Jaszczyszyn, ignorując ostatnią uwagę Fidlera. – Wracając do tematu, według naszego informatora najprawdopodobniej to ktoś z zaufanych ludzi Bossa zlecił zabójstwo pana i pańskiej żony. Boss to oczywiście ksywa Owsianki. Może i banalna, ale mówiąca wszystko: to on jest tam szefem.

– Nie dziwię się, że nie każe sobie mówić po nazwisku – oczy Fidlera nagle się zwęziły. – Na ile pewny jest ten cynk?

– Informator to jeden z naszych najlepszych tajniaków – lawirował Jaszczyszyn.

– To dlaczego użył pan określenia „najprawdopodobniej”?

– Fidler nie dawał za wygraną. Zbliżył się do Jaszczyszyna.

– Myślałem, że pomoże nam pan złapać morderców żony – stwierdził Jaszczyszyn.

– A ja myślałem, że ma mnie pan za inteligentnego faceta – twarz Fidlera w jednej chwili znalazła się tuż przed nosem prokuratora. – Ale widzę, że uważa mnie pan za jakiegoś buraka – wycodził, drobinkami śliny opluwając Jaszczyszyna.

Ten ani drgnął.

– Buraka? – spytał po chwili Jaszczyszyn.

– Nawet przez minutę nie wierzyłem, że pańska propozycja wynika z dobroci serca i że chce pan dać mi do ręki okazję wyrównania rachunków – Fidler złapał prokuratora za krawat i przyciągnął do siebie tak, iż niemal dotykali się nosami. – Doskonale zdaję sobie sprawę, że moja

osoba jest panu do czegoś potrzebna, a ta oferta zemsty jest tylko nędzną marchewką, która ma mnie skłonić do współpracy – zwolnił chwyt i wrócił na łóżko. – Ale głupi nie jestem i nie zamierzam się pchać do gniazda szerszeni dla pańskiej świetlanej przyszłości. Albo pokaże mi pan choćby ślad dowodu, że Boss lub ktoś z jego ludzi maczał palce w tym, co się stało, albo poszuka pan sobie innego naiwniaka.

*

Jaszczyszyn niemal przez godzinę mówił o śledztwie w sprawie Bossa, pokazał też Fidlerowi kilka dokumentów, między innymi billingi rozmów telefonicznych, jakie Owsianka przeprowadzał ze swoimi ludźmi. Wśród nich był Krzysztof Literski.

– Zadowolony? – spytał Jaszczyszyn na koniec.

Fidler nic nie odpowiedział.

– Nic mocniejszego nie macie? – Kasica włączył się do rozmowy. – Posiadanie telefonu komórkowego w więzieniu to ledwie naruszenie regulaminu. Owsianka co najwyżej dostałby za to miesiąc karceru – prychnął.

– Gdyby mieli coś mocniejszego, nie angażowaliby mnie do tej roboty – zauważył Fidler.

– Nic dodać, nic ująć – potwierdził Bryndza. – Facet się pilnuje. Mamy tylko billingi, niestety nie mamy możliwości założenia podsłuchu ani na aparat Owsianki, ani żadnego z jego ludzi. Mamy jedynie numery telefonów.

– Niewiele – stwierdził Kasica.

– Niewiele – przyznał Jaszczyszyn. – Ale nasz człowiek wśród Terminatorów jest pewien, że ktoś z bliskiego otoczenia Bossa zlecił zabójstwo pańskiej żony. To musiało być zaakceptowane przez Owsiankę, bez dwóch zdań.

– Wciąż nie pokazaliście mi nawet cienia dowodu – odparł Fidler spiętym głosem.

– Oni chcą, żebyś dowody zdobył sam i przyniósł im w zębach – szydził Kasica.

Fidler spojrzał pytająco na Jaszczyszyna.

– To prawda, ale ująłbym to nieco bardziej dyplomatycznie – rzekł Jaszczyszyn po chwili. – Jeśli chce pan cienia dowodu, że Boss i jego ludzie mają związek z morderstwem pańskiej żony, to takiego nie mam. Ale ma pan moje słowo, że tak jest.

– Chyba mnie pan przekonał... – zaczął Fidler.

– A mnie nie. Ja jestem do tego nastawiony trochę bardziej sceptycznie niż ty i pan prokurator – zaoponował Kasica. – Pamiętajmy, że wciąż nie ustaliliśmy źródła przecieków, które doprowadziły do twojej wpadki. Nie ma pewności, że kret, który może się znajdować w policji albo prokuraturze, znów cię nie wystawi. Moim zdaniem to wielce ryzykowna gra. Ja jestem na nie.

– Nikt nie mówił, że to nie będzie ryzykowne – wymamrotał Jaszczyszyn. – Decyzja należy do pana Fidlera. Ja jestem na tak.

– Ja też jestem na tak – stwierdził Fidler.

– Dwa do jednego – podliczył szybko Bryndza. – Ja nie głosuję.

– To nie jest reality show – obruszył się Kasica.

– Nikt tak nie twierdzi. Szanuję zdanie obu panów, ale decyzja należy tylko i wyłącznie do mnie. A ja się zgadzam – Fidler zacisnął usta. – Teraz proszę mnie zostawić, chciałbym odpocząć.

*

Następnego dnia Kasica ponownie odwiedził Fidlera w szpitalu. Ten był na zabiegach rehabilitacyjnych, Kasica, chcąc nie chcąc, musiał na niego poczekać. Odrzucił propozycję pielęgniarek, by skorzystać z pokoju pacjenta i przez niemal godzinę flirtował z siostrami.

– Nic się nie zmieniłeś – rzucił Fidler, wchodząc do pokoju pielęgniarek. – Twój śmiech słyhać na drugim końcu budynku.

– Musiałem sobie jakoś umilić czas – odparł Kasica, wstając z fotela. – Dziękuję paniom za kawę, mam nadzieję, że jeszcze będziemy mieli okazję...

– Idziemy – polecił Fidler. – Za pół godziny mam zajęcia na basenie.

– Już możesz pływać? – spytał w drodze do pokoju.

– Nie nazywałbym tego pływaniem. Na razie tylko się pluskam.

Weszli do sali.

– Przyszedłeś z konkretną sprawą czy tak wpadłeś? – Fidler zamknął za sobą drzwi.

– Odsunęli mnie od sprawy.

– To mnie zaskoczyłeś – gwizdnął przeciągle.

– Od samego początku Jaszczyszyn miał na to ochotę. Jestem pewien. Po wczorajszej dyskusji zaprosił mnie do siebie i stwierdził, że dla dobra akcji powinienem zostać odsunięty.

– Zgodziłeś się?

– Ta kwestia nie podlegała dyskusji – rzekł Kasica cierpko. – W gabinecie czekał na mnie mój szef z prokuratury rejonowej. Dał mi do zrozumienia, że jeżeli nie dam sobie na wstrzymanie, to wylecę na zbity pysk. Powiedział, że nie zamierza bić się z Jaszczyszynem.

– I?

– I co? Miałem wyjście? – obruszył się. – Najgorsze jest to, że zabronili mi kontaktować się z tobą. Ta wizyta ma być pożegnalną, przynajmniej na kilka najbliższych miesięcy.

– Liczyłem na twoje wsparcie – Fidler nie krył rozczarowania. – Tak do końca im nie ufam.

– Spokojnie. To dlatego, że ich nie znasz i nie pracowałeś z nimi wcześniej. Obaj mają dobrą opinię, mimo że Jaszczyn to kawał... – zmełł w ustach przekleństwo. – Może nie jest gładki w obyciu, ale to profesjonalista. Przynajmniej tak mówią.

– Wiesz, co mi przyjdzie po mówieniu, gdy zaczną mi obrabiać tyłek w Wołowie?

– Na twoim miejscu bym się nad tym zastanowił – Kasica przygryzł wargę. – Nikt ci nie zarzuci, że spękałeś. To nie będzie zabawa.

– Wiem – odparł cicho. – Może być gorąco, i to bardzo. Ale jak na razie to dla mnie jedyny punkt zaczepienia.

– Chcesz się zemścić – to było stwierdzenie, nie pytanie. – Ja na twoim miejscu nie myślałbym o niczym innym.

– Nie używałbym słowa „chcę” – Fidler spojrzał na Kasicę.

– Ja się zemszczę.

ROZDZIAŁ 4

Następne dwa tygodnie upłynęły Fidlerowi na ćwiczeniach. Pierwsze dni były najgorsze, kilka razy dziennie musiał łykać środki przeciwbólowe, aby móc funkcjonować. Lekarstwa tłumiły ból, ale i tak każde ćwiczenie wykonywał z grymasem na twarzy.

Jednak wystarczyło kilka dni, aby smarowanie – jak żartobliwie określał to rehabilitant – wróciło do normy. Fidler coraz rzadziej sięgał po tabletki, za to zwiększał obciążenie ćwiczeniami. Szesnastego dnia przepłynął całą długość 25-metrowego basenu, co prawda po dopłynięciu długo nie mógł złapać oddechu, ale fakt był faktem: powoli wracał do sił. Gdy wycierał twarz ręcznikiem, poczuł obok siebie czyjąś obecność.

– Pan prokurator – rzekł na widok Jaszczyszyna, którego czoło zrosił pot.

– Gorąco tu – odparł Jaszczyszyn, ocierając twarz rękawem marynarki.

– W takim stroju trudno, żeby było zimno – uśmiechnął się, patrząc na garnitur i niebieską koszulę, na której zaczynały przebijać wielkie ciemne plamy.

– Możemy porozmawiać gdzieś indziej?

– Za chwilę. Lekarz kazał mi unikać gwałtownych zmian temperatur – Fidler, nie wiedząc czemu, posunął się do niewinnego kłamstwa. – Zawsze może pan ściągnąć marynarkę.

– Lepiej nie – westchnął. – Wyglądałbym jak biedronka, tyle że niebieska.

– Tu nikogo nie ma.

– Może poczekam na zewnątrz?

– Nie ma sprawy. Ale musi mi pan dać kwadrans.

– Poczekam – Jaszczyszyn ruszył do drzwi.

*

Fidler nie spieszył się, kazał prokuratorowi czekać całe 20 minut. Gdy wyszedł, Jaszczyszyn siedział wygodnie rozparty w fotelu przy recepcji basenu i popijał mrożoną herbatę.

– Więc o czym chciał pan ze mną rozmawiać? – zaczął Fidler.

– Nie tutaj, nie tutaj – Jaszczyszyn zerwał się z fotela.

– Może znajdziemy sobie jakieś przytulne miejsce?

– Zaraz mam saunę...

Jaszczyszyn nic nie powiedział, przez jego twarz przebiegł grymas.

– A potem całą serię ćwiczeń – Fidler spojrzał wymownie na zegar zawieszony na ścianie recepcji. – Albo spotkamy się później, albo zostaje sauna.

– Niech będzie sauna – westchnął prokurator. – Mają tu zapasowe ręczniki?

*

– To nie jest normalna procedura – Fidler siedział na drewnianej ławeczce, wygodnie oparty, przebierał nogami.

– Nie jest – przyznał Jaszczyszyn, szybko oddychając.

– Nie spytałem nawet, czy może pan zażywać sauny – rzekł z udawaną troską, zmieniając temat.

– Nic mi nie będzie – zamachał nerwowo rękoma. – Co do naszego pomysłu...

– Zaskoczył mnie pan. Mocno – wszedł mu w słowo. – Jeśli się nie mylę, w takich sytuacjach zwykle wystarczało wsadzenie tajniaka do celi z lewym skierowaniem, plus poinformowanie dyrektora więzienia...

– Zwykle to wystarczało w zupełności – przerwał mu, kaszląc. – Ale to nie jest normalna sytuacja, dlatego procedury też nie mogą być standardowe. Po pierwsze, nie możemy Owsiance wpakować do celi byle kogo, łachmyta z recydywą za włamanie do kiosków ruchu nie wchodzi w grę. Po drugie, musimy panu przygotować mocną kartotekę, w razie gdyby Boss zechciał przeświecić swojego nowego współwięźnia. Po trzecie, nikt w tej placówce, nawet jej dyrektor, nie będzie wiedział o pańskiej misji. To do minimum zmniejszy niebezpieczeństwo ewentualnego przecieku. Jeśli nie wiemy, komu możemy zaufać, to nie możemy ufać nikomu.

– Trudno się z tym tokiem rozumowania nie zgodzić – Fidler zwiększył temperaturę. – W jaki sposób chcecie mi podkręcić kartotekę?

– No cóż... – zaczął. – Czegoś takiego jeszcze nigdy nie stosowałem. Szczerze bym się zdziwił, gdyby okazało się, że ktoś w Polsce przed nami wykorzystał taki patent.

– Czemu mam przecucie, że mi się to nie spodoba?

– Spokojnie – wymamrotał.

- Co pan wymyślił? – spytał z rosnącą nerwowością.
- Znaleźliśmy faceta, który jest do pana nawet dość podobny fizycznie, przynajmniej jeśli chodzi o posturę. Ma na koncie kilka odsiadek, obecnie przebywa na zwolnieniu warunkowym. Na czas trwania akcji przejmie pan jego tożsamość.
- I oczywiście facet na coś takiego zgodził się dobrowolnie? – zakpił.
- Mielśmy na niego oko w ciągu ostatnich kilku tygodni. Udało nam się go złapać, gdy złamał postanowienia warunków.
- Kilku tygodni? – Fidler myślał na głos. – Propozycję złożył mi pan dwa tygodnie temu, a obserwację faceta ładzącego podobnego do mnie zlecił wcześniej. Zdaje mi się, czy był pan pewien, że się zgodzę?
- Grałem w ciemno.
- Na razie się opłacało.
- Mam szczęście nie tylko w kartach.
- Rozumiem, że złożyliście facetowi propozycję nie do odrzucenia? – wrócił do tematu. – A on ją przyjął?
- Miał dwie opcje: spędzić kilka najbliższych tygodni lub miesięcy w więzieniu albo na wakacjach. Którą by pan wybrał?
- Czyli trafię do Wołowa z jego kartoteką, jak przypuszczam bogatą? – Fidler zignorował pytanie. – A na jakiej podstawie?
- Nowego wyroku – Jaszczyszyn otarł ręcznikiem twarz.
- Przygotujemy dla pana specjalny proces.
- Sfingujecie dla mnie rozprawę? – nie krył zdziwienia.
- Całkowicie sfingować procesu się nie da, bo żaden sędzia nie weźmie w coś takim udziału. Tak samo prokurator. Ale przygotujemy małe przedstawienie.
- Dwie minuty i wychodzimy – rzekł nagle Fidler. – Moment – zaczął intensywnie myśleć. – Powiedział pan, że ani

dyrektor więzienia nie będzie wiedział o mistyfikacji, ani ktokolwiek inny w tym więzieniu. Tak?

– Tak.

– Naprawdę nikt? – nie mógł uwierzyć. – To jaką macie gwarancję, że trafię akurat do tej celi, w której siedzi Owsianka?

– Wiemy, że Boss ma w kieszeni połowę klawiszy, w tym zastępcę dyrektora. Wiedzieć to jedno, udowodnić to co innego – dodał szybko, widząc, że Fidler chce coś powiedzieć.

– Nie w tym rzecz, żeby ich za to ciągać po sądach, przynajmniej nie na tym etapie. Teraz liczy się dla nas coś innego: z tego powodu dyrektor, notabene służbista w każdym calu, jest strasznie cięty na Owsiankę. Jestem gotów się założyć, że kogoś takiego jak pan, mam na myśli pańską przykrywkę, z przyjemnością dokooptuje Bossowi do celi.

– Jest pan się gotów założyć? – Fidler wstał, wyłączył termostat i otworzył drzwi. Para buchnęła na korytarz. – Ja mam ryzykować życiem, żeby pan mógł wygrać zakład z samym sobą?

– Zapewniam, że trafi pan do właściwej celi – Jaszczyszyn z wyraźną ulgą na twarzy wyszedł na zewnątrz. – Owsianka nienawidzi przestępców pańskiego pokroju.

– Czyli kogo? – spytał z naciskiem.

– Pedofila i mordercy w jednej osobie.

*

Tego samego dnia, tyle że późnym wieczorem, Fidler wymknął się chyłkiem z budynku. Był ubrany w dres i tenisówki, gdyby ktoś z personelu przyłapał go wieczorową porą, wytłumaczyłby, że biega w parku. Faktycznie pierwszy odcinek pokonał truchcikiem, gdy jednak zniknął między drzewami, zwolnił, skręcił w prawo i skierował się do starej, nieczynnej już przepompowni wody. Pod stalowymi drzwiami, na których wisiała potężna, aczkolwiek mocno zardzewiała kłódka, czekał już Kasica.

– Ryzykujesz – wydyszał Fidler. Choć niemal z dnia na dzień odczuwał poprawę stanu swojego zdrowia, większy wysiłek wciąż przychodził mu z trudem.

– Sapiesz jak wysłużony wolsztyński parowóz – Kasica wyciągnął dłoń na powitanie.

– Sapię? – prychnął. – Ty na moim miejscu leżałbyś jeszcze na sali chorych i jedyną aktywnością, na jaką mógłbyś liczyć, byłoby gapienie się na pielęgniarki.

– Uważaj, bo kiedyś ci ten cięty język amputują – gdyby nie zapadające ciemności, na twarzy prokuratora można by dojrzeć szeroki uśmiech.

– Jestem już śmiertelnie poważny – ton głosu Fidlera zmienił się diametralnie. – Ryzykujesz karierą, przychodząc tutaj i rozmawiając ze mną.

– Mógłbym powiedzieć, że spłacam dług.

– Mógłbyś, ale nie powiesz.

– Nie powiem – kolejny uśmiech. – Wiesz, najciekawsze jest to, że nawet nie potrafię sam sobie wytłumaczyć, dlaczego to robię. Szósty zmysł?

– Fajny film. Ale do oglądania tylko jeden raz...

– Nie to miałem na myśli – zachnął się Kasica.

– To był żart sytuacyjny.

– Nadzwyczaj kiepski.

– Nigdy nie umiałem opowiadać kawałów – Fidler nagle posmutniał. – Nina wciąż mi to wypominała. Ile razy opowiadałem dowcip, tyle razy poważniała, unosiła lewą brew – zamyślił się. – Nie, to była prawa brew, wciąż się myślę... Unosiła ją i mówiła, że zapodałem suchara. A potem wybuchła tym swoim perlistym śmiechem...

Kasica nic nie odpowiedział. Obaj chwilę stali w milczeniu.

– Co ci chodzi po głowie? – Fidler pierwszy przerwał ciszę.

– Nie wiem – Kasica cmoknął. – Albo inaczej: wiem, że to głupie, ale jakbym czuł podświadomie, że coś jest nie tak. Ale za nic nie mogę tego określić. Głupie?

– Bynajmniej – zaprzeczył gwałtownie. – Kilku mądrych rzeczy nauczyłem się w tej robocie. Ufanie intuicji jest wśród nich na czołowym miejscu.

– W każdym razie nie zamierzam z tobą zrywać kontaktu, dopóki to tylko będzie możliwe.

– Dalej odradzasz mi wczasy w Wołowie?

– To może być zarówno tylko kilka tygodni, jak i parę miesięcy. Trafisz na oddział zamknięty. Wystarczy, że ktoś z całej reszty ludzi puści farbę i masz przesrane.

– Rzesza ludzi? – zdziwił się Fidler. – Jaszczyszyn twierdzi, że to będzie jedna z najlepiej strzeżonych tajemnic w tym kraju.

– Wiesz, co się dzieje z tajemnicą, o której wie więcej niż jedna osoba? – Kasica zadał pytanie, ale nie czekał na odpowiedź. – Przestaje być tajemnicą.

– Mają dla mnie sfingować proces – wypalił. – Dostanę świeżutki wyrok do odsiadki.

– Uuu! – gwizdnął przeciągle. – To faktycznie przykładają się do sprawy. A za kogo będziesz robić?

– I tu dotykamy jedynego tematu, który mi się w tym wszystkim niezbyt podoba, delikatnie mówiąc – westchnął Fidler. – Pedofila i mordercę.

– Pogięło ich?!

– Też mi to nie pasuje – przyznał. – Po pierwsze, facet, którego tożsamość mam pożyczyc, jest pedofilem z kilkoma wyrokami na koncie. A po drugie, to podobno jedyny sposób, żeby się dostać do celi Owsianki.

– Dostać może i tak – rzekł Kasica z przekąsem. – Ale już z wyjściem stamtąd cało i w jednym kawałku to będzie o wiele trudniej. Wiesz, że jako pedofil będziesz miał prawie 100 pro-

cent szans, że cię tam zgwałcą albo zabiją, albo jedno i drugie? Ta ostatnia opcja jest nawet najbardziej prawdopodobna.

– Wiem – przygryzł wargę.

– A skoro operacja ma status tajne przez poufne i nikt z więzienia nie będzie wiedział, kim faktycznie jesteś, to masz przerabane podwójnie. Wiesz, że klawisze tak samo nie znoszą pedofilów i gwałcicieli, jak sami więźniowie?

– Wiem.

– I wiesz, że masz marne szanse na zdobycie jakichkolwiek informacji mogących pomóc w sprawie? Nie sądzę, żeby Owsianka wywnętrzał się przed pedofilem.

– Wiem.

– Znasz jakieś inne słowo niż tylko wiem i wiem?! – warknął Kasica zdenerwowany.

– Będę tam tak długo, ile będzie trzeba, żeby dorwać Owsiankę i jego ludzi. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja – Fidler odcharknął.

– Tak – przyznał. – Ale może znajdzie się jakiś inny sposób, żeby to załatwić – rzekł bez przekonania.

– Inny sposób? – splunął pod nogi. – Próbują od pięciu lat. Z jakim skutkiem? – rzucił ironicznie.

Kasica nie odpowiedział.

– Zrobię to – powiedział twardo Fidler.

– Wymuś na nich chociaż powiadomienie dyrektora więzienia.

– Nie – uciął krótko. – Dopiero wtedy byłbym naprawdę zagrożony. Jeden tajemniczy kret wystarczy.

– Właśnie! Przed chwilą mówiłem, że będziesz miał ni-
kłe szanse powodzenia – westchnął Kasica. – Zapomniałem o krecie.

★

Minęło kilka dni i pytania, jakie pojawiły się w rozmowie z Kasicą, zdążyły w umyśle Fidlera przyblaknąć. Całą jego

uwagę pochłaniały zabiegi rehabilitacyjne – było ich coraz więcej, a czas trwania ćwiczeń wydłużał się z dnia na dzień – przerywane spotkaniami z prokuratorem Jaszczyszynem i jego dwoma zaufanymi ludźmi, których zadaniem było wprowadzenie policjanta w tajniki więziennego życia. Wiele z przekazanych informacji nie było dla Fidlera nowością, ale zdarzały się i takie, które skrzętnie notował w pamięci.

– I pamiętaj: trzymaj szczoteczkę do zębów krótko, inaczej będziesz miał duże szanse na złapanie żółtaczk albo innego syfu – Marcin, mężczyzna, którego Jaszczyszyn przedstawił tylko z imienia (Fidler był gotów się założyć, że jest fikcyjny), był strażnikiem w dużym więzieniu. Czasami używał określeń jakby żywcem wyjętych z regulaminu, innymi razy stosował takie uproszczenia, że nie można było zrozumieć, o co mu chodzi.

– Krótko? – spytał Fidler.

– Krótko, czyli bezpiecznie – Marcin tłumaczył cierpliwie.

– Każdemu złodziejowi przysługuje szafka

– Złodziejowi? – przerwał mu.

– Przepraszam, tak nazywamy więźniów między sobą. Zgodnie z regulaminem powinniśmy się do nich odzywać per osadzony, ale najczęściej mówimy do nich po nazwisku. Tak więc każdy osadzony ma szafkę, w której trzyma przedmioty użytku osobistego: przybory toaletowe, kosmetyki, zestaw naczyń i sztuców. Z reguły oni sami respektują tę prywatność i nikt nikomu nie zagląda do szafki. I to nie tyle z dobroci serca, co obawy przed zarażeniem się.

– Ale samo trzymanie szczoteczki do zębów i maszynki do golenia w szafce nie wystarczy – doprecyzował Janek, drugi strażnik-wykładowca. – Dostaniesz dwa plastikowe pojemniki, jeden na szczoteczkę, drugi na jednorazówkę. Trzymaj w nich przybory. Zawsze.

– Straszycie mnie – westchnął Fidler.

– Nie straszymy, tylko przestrzegamy – Marcin podrapał się po głowie. – Generalnie musisz się liczyć z tym, że lokatorzy celi, do której trafisz, mogą mieć różnego rodzaju choroby. Nie wiadomo, czy tak będzie, ale trzeba być ostrożnym.

– Z mycia zębów nie zrezygnuję, ale chyba przestanę się golić – Fidler podrapał się wymownie po dwudniowym zarście.

*

– Jak skreślimy wyrok? – spytał Jaszczyszyn, kierując wzrok na Bryndzę. Oprócz zastępcy dyrektora CBS w gabinecie prokuratora był obecny tylko jeden człowiek: Marian Podpora, prawnik na etacie ministerstwa sprawiedliwości, jeden z najlepszych karnistów w kraju.

– Z naszego punktu widzenia... – zaczął Bryndza. – Biorąc pod uwagę, że zależy nam, aby Fidler trafił do Wołowa z jak najbardziej przekonującą kartoteką, idealnym rozwiązaniem byłby sfingowany proces.

– To nie wchodzi w grę – rzekł Podpora głosem nieznośnym sprzeciwu. – Nie ma takiej możliwości, żeby jakikolwiek sędzia w Polsce zgodził się na wzięcie udziału w takim procederze.

– Procederze? – oburzył się Jaszczyszyn. – Pan mecenas używa określenia, które mogłoby sugerować, że zastanawiamy się nad popełnieniem jakiegoś przestępstwa. Chciałbym tylko przypomnieć, że przyświeca nam jak najbardziej szczytny cel.

– Panie prokuratorze, nie musi mi pan tego przypominać – skontrolował Podpora. – W tej sytuacji to nie ma jednak najmniejszego znaczenia. Nie ma procedur, które pozwalałyby sędziemu na taką prawniczą hucpę nawet w przypadku, jeśli jest to potrzebne w pracy operacyjnej. Innymi słowy: walcząc z przestępcami, nie można samemu popełnić przestępstwa. A sfingowanie procesu czymś takim byłoby bez wątpienia.

– Stróże prawa w walce z przestępczością czasami nieco naginają prawo – wtrącił Bryndza. – Oczywiście w rozsądnych granicach.

– To, co panowie chcielibyście zrobić, to nie jest naginanie prawa, tylko jego ewidentne złamanie – tłumaczył Podpora. – Powtórzę: żaden sędzia nie weźmie udziału w procesie człowieka, co do którego od samego początku wiedziałby, że podszywa się pod czyjąś tożsamość. Tak samo zresztą, jak nie robi tego żaden prokurator. To znaczy, mógłby zrobić, ale narażałby się na poważne zarzuty.

– Dobrze – Jaszczyszyn zerwał się z fotela. – To ustaliliśmy już, że nie uda się przeprowadzić procesu z udziałem prawdziwego sędziego i prokuratora. Zastanówmy się więc, w jaki inny sposób możemy uzyskać to, na czym nam zależy, czyli świeżutki wyrok dla Fidlera?

*

– Musisz wiedzieć o jednej ważnej rzeczy – Marcin mówił dalej. – W każdym więzieniu istnieje pewna hierarchia wśród więźniów. Najwyżej wśród niej jest przywódca grupy przestępczej.

– W Wołowie to będzie Owsianka? – spytał Fidler.

– Nie inaczej – potwierdził. – Takiego kogoś nazywają albo szefem, albo bossem. Stąd pewnie ksywa Owsianki.

– Z tego co mówił Jaszczyszyn, w celi z Bossem siedzi jeden z jego najważniejszych ludzi.

– To zaufany człowiek. Takich nazywa się kierownikami. Na kolejnym stopniu w hierarchii są tak zwani fachowcy, czyli specjaliści od różnego rodzaju zadań.

– Na przykład? – zaciekał się.

– Od włamań, fałszerstw czy krawatów kolumbijskich.

– O tym ostatnim nie słyszałem.

– Na pewno słyszałeś – odparł Marcin. – Polega na podejrnięciu komuś gardła i wyciągnięciu języka przez dziurę.

- Mniejsza z tym – wzdrygnął się. – Kto dalej?
- Na samym dole są żołnierze, czyli mięso armatnie. Oni są od brudnej roboty, na przykład pobicia innego więźnia, czy nawet wsadzenia mu kosa. Gdy dostają zlecenie, to nigdy od szefa, zawsze od kierownika. W razie wpadki nie zdradzą prawdziwego zleciennodawcy. Nawet gdyby chcieli, a z reguły nie chcą.
- Coś jeszcze powinienem wiedzieć o więziennej hierarchii?
- Każdy członek grupy przestępczej siedzący w więźniu jest nietykalny dla innych. Zwykli złodzieje nie wchodzi im w drogę.
- Czyli krótko mówiąc, mam siedzieć cicho?
- To najlepsze rozwiązanie, ale nie daje gwarancji – tłumaczył Marcin. – Jak się komuś nie spodobaś, to i tak dostaniesz po mordzie.
- Niezwykłe nęcąca ewentualność – westchnął. – Przed chwilą powiedziałeś w „więźniu”. Czemu nie w „więzieniu”?
- Bo tak czasem mówimy – odpowiedział. – Skoro zeszliśmy na temat języka, to teraz podam ci krótki słowniczek.